Nr. 26. Sobota dnia 28-go czerwca 1913.

GOŚĆ ŚWIĄTECZNY.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę siódmą po Zielonych Świątkach.

LEKCYA

z listu św. Pawła do Rzym., rozdział VI, wiersz 19—23.

Bracia! Po ludzku mówię do nieudolności ciała waszego. Albowiem jakoście wydawali członki wasze na służbę nieczystości i nieprawości: tak teraz wydawajcie członki wasze na służbę sprawiedliwości ku poświęceniu. Bo gdyście byli niewolnicy grzechu, byliście wolnymi sprawiedliwości. Któryżeście tedy na on czas pożytek mieli z onych rzeczy, za które się teraz wstydzicie? Bo koniec onych jest śmierć. A teraz będąc wyzwoleni od grzechu, a stawszy się niewolnikami Boga, macie owoc wasz ku poświęceniu, a koniec żywota wieczny. Albowiem zapłaty grzechowe śmierć, a łaska Boża żywot wieczny w Chrystusie Jezusie Panu naszym.

EWANGELIA

u św. Mateusza, rozdział VII, wiersz 15—21.

Onego czasu rzekł Jezus do Swych uczniów: Strzeżcie się pilnie fałszywych proroków, którzy do was przychodzą w odzieniu owczem, a wewnątrz są wilcy drapieżni. Z owoców ich poznacie ich. Izali z ciernia zbierają jagody winne, albo z ostu figi? Tak wszelkie drzewo dobre owoce dobre rodzi, a złe drzewo owoce złe rodzi. Nie może drzewo dobre owoców złych rodzić, ani drzewo złe owoców dobrych rodzić. Wszelkie drzewo, które nie rodzi owocu dobrego, będzie wycięte i w ogień wrzucone. A przeto z owoców ich poznacie ich. Nie każdy, który mówi: Panie, Panie! wnijdzie do Królestwa niebieskiego, ale który czyni wolą Ojca Mego, który jest w niebiesiech! ten wnijdzie do Królestwa niebieskiego.

NAUKA.

Mowa i życie fałszywych proroków.

„Strzeżcie się pilnie faszywych proroków".

Fałszywi prorocy, ludzie to widać bardzo niebezpieczni, skoro nas przed nimi tak bardzo Pan Jezus ostrzega. Dla duszy naszej niebezpieczni to ludzie, łatwo bowiem mogą nas nieba pozbawić!

Cóż to przecie za jedni? Pewnie to jacyś poganie, może Turcy, może odszczepieńcy, ci od wiary odpadli? Gdzież tam, znajdą się tacy i między nami. W naszym nawet katolickim Kościele oni się urodzili i wyrośli ci fałszywi prorocy. Niegdyś i pacierz oni odmawiali, do kościoła chodzili i do spowiedzi. Dziś tego oni już nie praktykują, a jeśli się w kościele kiedy pokażą, przeżegnają się, może i uklękną nawet, to po to jedynie, aby się odrazu na nich nie poznano. Bo nieraz biorą oni odzienie owcze na siebie, wewnątrz jednak wilki to drapieżne, jak mówi Pan Jezus.

Otóż cała sztuka na tem polega, aby się poznać na nich, aby ich wilczą naturę rozpoznać. Jestże to możliwe? Czemużby nie? tem więcej, że Pan Jezus sam powiada nam, po czem ich rozpoznać. Powiada: z owoców ich poznacie ich. Tak poznajemy i drzewo, które dobre, a które złe, po jego owocach. I człowieka poznajemy po jego owocach, po mowach jego, po uczynkach jego. Bo mowa i uczynki człowieka, to owoce jego.

Najpierw więc przysłuchajmy się mowom fałszywego proroka. O czemże lubi on najczęściej rozprawiać? — o kościołach, nabożeństwach kościelnych i księżach. Po co nam kościołów, powiada, na co nam kościołów? Jabym pozamykał kościoły i zamienił je na składy zboża, na magazyny. Szkoda, że nie mówi: jabym je zamienił na kryminały. Onby kościoły zamienił na magazyny; a cóż to przecie utrzymuje człowieka przy życiu cnotliwem, jeśli nie kościoły? Cóż go od występków chroni i od kryminału, jeśli nie kościoły? Ci właśnie, którzy kościoła nie znają, schodzą na bezdroża, do zbrodni nawet się posuwają. Kto kościoła nie zna, ten i Boga nie zna, nie boi się Go, ani sądów Jego, ani wieczności. Człowiek taki żyje jak nie człowiek, ale jak zwierzę.

Kościoły więc są na to, żeby się człowiek cnoty trzymał i sprawiedliwości, żeby wiedział, co się Bogu od niego należy, a co znowu ludziom, żeby tak żył, jak na człowieka przystoi, stworzonego na obraz i podobieństwo Boże. A ten prorok fałszywy nie może tego w głowie swej pomieścić, na co są kościoły. Choć i jego sumienie wyglądałoby całkiem inaczej, gdyby do kościoła chodził. A teraz tyle tam brudu w tem sumieniu jego, tyle nieprawości, że tego nie przeliczyć nawet. — Przypatrz mu się bliżej, a poznasz wnet, że sumienie jego pełne strupieszałych kości.

Kościołów prorok fałszywy nie lubi, ale on i nabożeństw kościelnych nie lubi. Powiada: szkoda i czasu na te nabożeństwa, lepiej na co innego czas ten obrócić. Na cóż przecie? pewnie na gry w karty, na mowy plugawe, na polowania, na czytanie nieuczciwych książek, na wysiadywanie po szynkach, na próżniactwo. Tego bowiem nie widać jakoś po fałszywym proroku, żeby on czas tak bardzo szanował. Całe dni i noce nieraz to na kartach mu schodzą, to na pijatykach, jeno na nabożeństwo pójść do kościoła, na to czasu mu szkoda. Jakże on nizko upadł! Z duszy jego ani śladu w nim już nie widać, samem jeno cielskiem on żyje. W chwilach trochę lepszych życia swojego chyba on sam sobą się brzydzi i pogardza sobą.

Tak więc wszystkie kościoły zamyka prorok fałszywy, nabożeństwa znosi, wmawia jeszcze w drugich, że i oni myśleć tak i mówić powinni. Zapomina widać, że nie wszyscy, jak on, zwierzętom bezrozumnym podobni.

Najwięcej jednak prorok fałszywy bije na księży. Cóż oni mu winni? Ani do jego kieszeni nie zaglądają, ani się zapraszają do jego stołu. Nie

znają go wcale. Czemuż on przecie nienawidzi księży tak bardzo? Ależ i złodzieje i podpalacze i rozbójniki tak samo nie lubią żandarmów, nienawidzą ich, a sędziów wytępiliby wszystkich odrazu, gdyby tylko mogli. Bo żandarmi, sędziowie w ich rzemiośle im przeszkadzają.

Tak i księża przeszkadzają fałszywym prorokom w ich życiu bezbożnem. Co spojrzą na nich, to sobie Boga przypominają i prawo Jego i sąd surowy po śmierci, a to im spokoju nie daje. Za każdem spotkaniem się gdziekolwiek z księdzem sumienie ich w nich się odzywa i zatruwa im życie.

Słyszałeś może o tym człowieku, na oczy chorym, co słoneczko głośno przeklinał. Wołał: bodaj cię, ty słoneczko, ogarnęły ciemności, bodajś gdzie w jaką przepaść bezdenną przepadło, abym cię nie musiał oglądać. Cóż mu przecie słoneczko tak zawadzało, to takie dobre, czynne słoneczko? Chore oczy jego nie mogły znieść światłości jego, dlatego on słońce tak przeklinał. Otóż i prorok fałszywy ma oczy chore. Ta choroba jego, to grzechy i występki jego; nie może więc spokojnie na księdza spoglądać, bo ten ksiądz światłość Bożych przykazań na sobie wyraża.

Otóż to ulubione mowy fałszywych proroków — przeciw kościołom, przeciw nabożeństwom i przeciwko księżom. Na kościoły oni plują, nabożeństwa wyszydzają, a księży lżą, gdzie mogą, aby im tak wszelką odebrać powagę.

Takie mowy ich, a jakież ich życie, a jakie ich czyny? W zgniłej, stojącej wodzie cóż się tam wylęga? same ropuchy i gady, rybka żadna w niej nie wyżyje. I w życiu fałszywego proroka rybki nie szukać, nic dobrego nie szukać, samo tam plugastwo się płodzi. Jakże jednak wygląda życie fałszywego proroka?

Pod jednym dachem z ojcem swoim on mieszka, z matką swoją. Wieleż ta matka łez swoich na niego wylała, a ten ojciec wieleż on nie nawstydził się przez niego i nie namartwił. Bo ten syn, to prorok fałszywy, co żyje bez kościoła, bez Boga, nie da im nigdy i słowa dobrego. On mądry, a oni głupi u niego, on w gminie i powiecie dobrze zasłużony, a oni chleb daremnie zjadają. Już mu i życie ojca, matki za długie, więc śmierci na nich przyzywa, do grabarza odsyła. I nie może być z niego syn inny, wszak ani Boga on się nie boi. To też nieraz powiada biedne matczysko: bodajś był umarł, kiedym cię przy piersiach moich nosiła! I matki i ojca przekleństwo czy dziś, czy jutro go nie ominie.

A jeżeli prorok fałszywy ma żonę, ma dzieci, jakież to biedactwo przy nim nieszczęśliwe. Dla żony on tyranem, dla dzieci ojczymem, bo w sercu jego dla nich nie szukać miłości. Jakże on bowiem może mieć miłość choćby dla najbliższych, jeżeli Boga on nie miłuje. Czyś widział to kiedy, żeby drzewo, korzenia nie mając, zieleniło się, rosło, wydawało owoc? Tym korzeniem to miłość Boga, bez której się nigdy nie zazieleni miłość bliźniego. Więc biedna żona tego fałszywego proroka, śmierci, jak zbawienia wygląda, dzieci zaś kryją się po kątach ze strachu przed ojcem.

Więc ani to syn, ani mąż, ani ojciec dobry z tego fałszywego proroka, ale utrapienie tylko bez miary.

A jeśli taki prorok fałszywy dorwie się urzędu, pożal się Boże tej gminy. Jeżeli na wójtostwie zasiędzie, to kasa gminna i jego kasą jest wtedy. Z tej kasy przywłaszcza on sobie raz po raz grosz gminny, dobrze też sobie nad stan zajada, lepiej jeszcze popija. A kiedy mu się skończy urzędowanie, pokazują się wnet jego kradzieże, za które już kryminał odsiedział niejeden taki prorok fałszywy. Ale nie dziwić się temu, kto bowiem zyzem patrzy na kościół, kto nabożeństwem pogardza, kto stanem duchownym pomiata, taki i wiary się wyzbył. Dla niego nic świętego na ziemi już niema.

Cóż nam więc począć z fałszywym prorokiem? Na równi on stoi z heretykiem, a św. Paweł powiada: „człowieka heretyka po pierwszem i wtórem strofowaniu się strzeż, wiedząc, iż jest wywrócony, który takowy jest i grzeszy, gdyż jest własnym sądem potępiony“ (Tyt. 3. 10). I rozum i serce i sumienie, wszystko wywrócone u fałszywego proroka, więc się strzeż i z daleka trzymaj się od niego. Strzeżcie się pilnie fałszywych proroków. Amen.

WODA MŁODOŚCI.

Było to w dniu przesilenia słonecznego. Na zbożach leżał żar południa. Zaledwo niekiedy poruszył niemi świeży wietrzyk z lasku w pobliskiej górze, poczem kłosy pochylały się w dół, a z maków opadały na ziemię czerwone listki. Świerszcze i koniki polne nie przestawały jednak grać, a z lasu odzywała się niekiedy kukułka.

Ścieżką wśród żyta, z doliny pod górę, szła sobie smukła, silna chłopka. Bufiasty, szeroki miała ubiór, a na głowie od słońca czerwoną chustkę, na lewem ramieniu zawieszony kosz, w prawej ręce dzban. Gdy ją ujrzał dzięcioł siedzący na buku, wyleciał na najwyższą gałąź i witał: „Dziewczyno, dziewczyno, oj kwiecie!" Ale ptak mylił się. Magda nie była dziewczyną, ale młodą niewiastą, a szła do męża, który tam w boru drwa rąbał. Gdy doszła na skraj lasu, przystanęła, nasłuchując. Dobiegły ją wnet odgłosy uderzeń siekiery; wiedziała, dokąd się zwrócić. Niedługo trwało, a ujrzała męża, który podrąbywał potężną sosnę; wesoło nań zawołała.

— Stój w miejscu — krzyknął nagle — drzewo zaraz padnie.

I w tej chwili sosna westchnęła głęboko, pochyliła się i jęcząc runęła. Teraz Magda podeszła bliżej; opalony drwal objął obu rękami swoją młodą niewiastkę i ucałował serdecznie. Potem siedli na pniu i wyjmowali z kosza przyniesioną żywność. Wtem drwal odłożył chleb na bok, ujął za siekierę i rzekł:

— Zapomniałem o jednej rzeczy.

Wstał, podszedł do sosny i wyrąbał na niej trzy krzyże.

— Na co to, Janie? — spytała kobieta.

— To dla leśnic — objaśnił Jan. — Maleńkie leśnice (boginki leśne) mają srogiego wroga, dzikiego strzelca. Dzień i noc je prześladuje i szczuje psami. Jeśli się jednak uda takiej biedaczce schronić na pień krzyżami naznaczony, to już dziki strzelec nic przeciw niej nie może; krzyże ją bronią.

Niewiasta zrobiła wielkie oczy.

— Spotkałeś już kiedy taką leśnicę? — spytała ciekawie.

— Nie; one się bardzo rzadko pokazują. Ale dzisiaj jest przesilenie dnia z nocą, to będzie można je widzieć.

I nagle donośnym głosem krzyknął w głąb boru:

— Leśniczko, pokaż się!

Uczynił on to tylko na żart, dla zabawienia swojej kobietki. Ale w dzień Świętojański nie można w lesie z takiemi rzeczami żartować. Naraz stanęła przed niemi istotka na łokieć wysoka, wdzięcznej postaci i dziwnie piękna z oblicza. Odziana była w długą, białą szatę, a w żółtych włosach miała zatkniętą gałązkę paproci i kwiat jakiś nieznany.

Jan i Magda srodze się przelękli. Podnieśli się prędko i Magda oddała pokłon, jak umiała.

— Zawołaliście mnie w dobrą godzinę — rzekła leśnica i wskazała palcem na tarczę słoneczną nad głowami — a dobry uczynek — wskazała znowu na trzy krzyże — wart dobrego uczynku. Złotem i srebrem obdarzyć was nie mogę, ale mam dla was coś lepszego. Chodźcie ze mną i nie lękajcie się, a weźcie dzban, może się wam przydać.

Tak rzekła i pomknęła naprzód. Jan wziął na ramię siekierę, Magda zabrała dzban i szli oboje za nią. Szła ona zaś niby kaczka, Magda pociągnęła męża za ubiór i chciała mu coś powiedzieć o tym kaczym chodzie leśnicy, ale Jan położył palec na ustach. Nic tak leśnicy nie dotknie, jak naigrawanie się z jej chodu. Mają one bowiem gęsie nogi i dlatego też noszą przydługie szaty.

Wkrótce doszli do wyrąbanej polanki. Prastare drzewa stały wokoło łąki, z trawy wychyliły się lilie i krzaczki a wielkie motyle siedziały na nich i poruszały skrzydłami. Jan, któremu się zdawało, że ma cały bór pod swą władzą, nie mógł sobie przypomnieć, żeby tu był kiedy. Na skraju łąki stał mały domek. Ściany były korą pokryte, dach ułożony z szyszek, a każda szyszka była przymocowana kolcem róży. To był właśnie domek leśnicy. Gospodyni zaprowadziła gości za dom i wskazała im zdrój, w którym woda bez najmniejszego szmeru z czarnej ziemi wypływała. Po brzegach rosły mieczyki i soczyste storczyki, a złocisto lśniące się panny tańcowały w powietrzu nad zwierciadłem wody się unosząc.

— Jest to studnia młodości — rzekła leśnica. — Wykąpanie się w niej czyni starca młodzieńcem, a staruszkę dzieweczką. Woda ta broni od starości i darzy świeżą młodością aż do śmierci. Napełnijcie sobie dzban i zanieście do domu. Ale oszczędzajcie tej drogocennej wody; jedna kropla co niedziela wystarczy, żebyście pozostali młodymi. I jeszcze jedno: Jeżeli, Janie, rzucisz okiem na inną kobietę, albo ty, Magdo, na innego mężczyznę, to woda straci moc swoją. Pamiętajcie o tem, a teraz naczerpcie i bywajcie zdrowi!

Tak mówiła, i unikając podziękowań szczęśliwej pary, weszła do domu. Magda zaś napełniła dzban wodą młodości, potem oboje pobiegli szybko, jak tylko mogli, do swojej chaty.

W domu przelał Jan wodę do flaszy i zalepił otwór żywicą.

— Teraz jeszcze — mówił — nie potrzebujemy wody młodości i możemy ją zaoszczędzić. Przyjdzie czas, że nam się przyda.

Postawili flaszkę do szafy, gdzie chowali swoje skarby: kilka starych monet, sznur granatów, u którego wisiał złoty pieniądz, i dwie srebrne łyżki.

— Ale, Magdo, teraz dopiero trzeba się pilnować, żeby woda swojej mocy nie utraciła.

Pilnowali się też — i jak jeszcze! Jeżeli młody leśniczy koło ich ogródka przechodził i Magdę, jak zwykle czynił, pozdrowił, to Magda z grządek nie podniosła nawet oczu ku niemu. A gdy Jan wieczorem pod „Białym Jeleniem” siedział, a ładna Liza przyniosła mu wino, to marszczył na nią brwi, a potem już wcale nie chodził do gospody, lecz zostawał w domu przy żonie. To też woda musiała zachować swoją czarowną moc.

Tak upłynął im rok miłości i szczęścia i z dwojga było troje. W kolebeczce przewracał się chłopczyk i krzyczał, aż się ojcu serce śmiało.

— Teraz — powiedział — nadszedł czas, żeby otworzyć flaszkę. Co myślisz, Magdo? Kropla wody młodości dobrze ci zrobi.

Ona się zgodziła; Jan poszedł do izby, gdzie trunek cudowny był zamknięty. Drżącemi rękami odejmował żywicę; wtem, oj biadaż, biada, flaszka mu się wyśliznęła z ręki i woda młodości wylała się na ziemię; nie wiele brakowało, że i on sam byłby upadł, tak go nieszczęście to przeraziło. Co począć? Jako żywo, żona nic o tem wiedzieć nie może, co się stało; przestrach mógłby ją o śmierć przyprawić. Może jej to później zwierzy; może też odnajdzie raz studnię młodości, której dotąd, co prawda, napróżno po lesie szukał, może się strata powetuje. Prędko napełnił drugą podobną flaszę wodą ze zwykłej studni i tej też wody podał żonie.

— Ha, jak to umacnia i orzeźwia — rzekła Magda. — Weź-no i ty, Janie, choć kroplę.

Jan usłuchał i chwalił siłę cudownego trunku i od tego czasu co niedziela, gdy dzwoniono do kościoła, brali oboje po kropli. I kwitła Magda jak róża, a Janowi biły wszystkie muskuły siłą i zdrowiem. Drwal jednak wyznanie prawdy odraczał z dnia na dzień, gdyż w cichości się spodziewał, że przecież studnię młodości odszuka.

Tak upłynęło kilka lat. Do małego chłopczyka przybyła mała dzieweczka, a pani Magda do okrągłej twarzy dostała drugi podbródek. Ona tego sama nie widziała, gdyż lusterek jeszcze wtedy nie znano; Jan to widział, ale strzegł się coś o tem wspomnieć, a miłość jego dla kochanej kobiety stała się podwójnie silną. Wtedy wydarzyło się nieszczęście; przynajmniej pani Magda tak sądziła. Gdy jednego dnia porządkowała, mały Pietrek, jej najstarszy, dostał się do szafy, w której stała flaszka z ową niby wodą młodości; chłopiec niezgrabny przewrócił flaszkę: rozbiła się, a woda się wylała.

— O najsłodsze nieba — jęczała matka — to tylko szczęście, że Jana niema w domu! — Drżącemi rękami pozbierała skorupy z ziemi, a do szafy postawiła inną, podobną flaszkę napełnioną wodą ze studni. — Oj dolo, dolo! Oszukaństwo wnet się wyda, bo skończyło się już z wieczną młodością. Oj dolož, dolo!

Tymczasem postanowiła nic mężowi jeszcze o tem nie wspominać.

Znowu upłynął kawał czasu, a małżonkowie żyli ze sobą jak onego dnia, gdy proboszcz ich ręce połączył. Jedno drugiemu wystrzegało się bacznie dać poznać, że młodość minęła, i co niedziela skrupulatnie brali po kropli owej wody cudownej.

Wtem zdarzyło się, że Jan jednego rana podczas czesania się spostrzegł u palców przyczepiony siwy włos. Pomyślał sobie: „Teraz już czas, żebym żonie prawdę odkrył.” Z ciężkiem tedy sercem zaczął:

— Magdo, mnie się zdaje, że nasza woda młodości straciła swoją moc. Patrz, oto znalazłem siwy włos; starzeję się już.

Magda, w pierwszej chwili przerażona, prędko się opamiętawszy, z głośnym śmiechem zawołała:

— Jeden siwy włos! Byłam ja dziewczynką dziesiecioletnią, a miałam już jeden siwy kędzior pod włosami! To się często zdarza. Niedawno temu wy-

pychałeś źbika, może ci się trochę jego tłuszczu do włosów dostało, bo tłuszcz ten zabarwia włosy na siwo. Nie, Janeczku, woda ma jeszcze swoją dawną moc, albo — i spojrzała z trwogą na niego — czy się tobie wydaje, że i ja starzeję?

Na to Jan głośno się roześmiał.

— Ty, stara? Ty mi kwitniesz jak róża we świątki — objął jej tęgą postać i pocałował najdroższą. Potem pomyślał z cichą radością:

— Dzięki Bogu, ona nie miarkuje nawet, że się starzejemy. A no, to i dobrze.

Tak samo też myślała i kobieta. Wieczorem tegoż dnia tańczyła młodzież wiejska, po skrzypkach wędrownego grajka, a żadna para nie kręciła się żywiej około lipy, jak Jan i Magda. Kobiety wiejskie pokpiwały sobie z nich, ale oni oboje w swojej szczęśliwości nie słyszeli tych ludzkich języków.

Potem w jesieni zdarzyło się, że gdy Jan ze swoimi w domu spożywał gęś świętomarcińską, pani Magda przy jedzeniu złamała sobie ząb. Było wielkie narzekanie, bo niemało była dumną ze swych białych zębów; gdy oboje małżonkowie pozostali sami, rzekła kobieta niepewnym głosem:

— Nie byłoby się to nieszczęście przydarzyło, gdyby woda...

Ale Jan jej przerwał:

— Woda znowuż na wszystko pomódz nie może. Ileż-to razy się zdarza, że chłopiec przy gryzieniu orzecha ząb sobie wyłupi! Co też możesz zarzucić tej doskonałej wodzie? Czyliż nie jesteś świeżą i zdrową, jak młoda główka sałaty? Albo może rzuciłaś wzrokiem na kogo innego, że już w moc wody nie ufasz?

Kobieta się rozśmiała, obtarła łzy z policzków i pocałowała starego tak mocno, że mu aż oddech zaparło. Po południu zaś siedzieli przed domem na kamiennej ławie i śpiewali sobie na dwa głosy pieśni o miłości wiernej, aż przechodnie prawili: „Tracą rozum starowiny." Ale oni, szczęśliwi, nie słyszeli tego.

Tak upłynęło wiele lat. Dla dzieci stał się dom za ciasnym; poszły w świat, pożeniły się i także miały dzieci. Oboje staruszkowie byli znowu sami, a tak zawsze kochający się, jakby w dniu, kiedy się pobierali. Każdej niedzieli, gdy dzwoniono na nabożeństwo, brali z owej flaszki po jednej kropli.

I nadszedł znowu dzień przesilenia letniego. W wigilią siedzieli Jan i Magda przed domem i spoglądali po górach, gdzie płonęły ognie sobótkowe. Zdala dolatywały głośne wołania i krzyki wesołe młodego chłopstwa, które się zabawiało ochoczo. Chłopcy i dziewczęta podsycali ognie i parami przez płomienie skakali. I rzekła kobieta:

— Janie drogi, radabym znowu raz pójść do lasu. Jeśli masz ochotę, to pójdziemy jutro rano. Lecz musisz mnie obudzić, bo kiedy jałowiec kwitnie, to młoduchny rade śpią, aż do białego dnia.

Jan się zgodził. Rano obudził żonę i poszli razem do lasu. Jakby kochankowie prowadzili się pod ręce, a jedno patrzyło pilnie na kroki drugiego. Jeżeli Jan ostrożnie przez wystający korzeń drzewny przestępował, mówiła kobieta: „Ej, Janie, podskakujesz jak koźlę"; a jeżeli Magda trwożliwie przez rowek przesadzała, śmiał się Jan i wołał: „Podskocz Magdo! Hop!" A potem upatrzyli sobie starą sosnę i spożywali w cieniu, co Magda z domu zabrała.

— Tu właśnie w tem miejscu — mówił Jan — leśnica się nam pokazała, a tam, het, powinnaby być polanka ze źródłem młodości. Ale polanki i źródła już nigdy nie znalazłem.

— To też, Bogu dzięki, i nie było potrzebnem — przerwała żywo Magda. — Naszej flaszki przecie jeszcze na długo wystarczy.

— Tak, juściż starczy — potwierdził Jan. — Ale przecie by mnie ucieszyło, gdybyśmy dobrą leśniczkę jeszcze raz zobaczyć i za nasze szczęście podziękować jej mogli. Chodź, pójdźmy i szukajmy. Może będę dzisiaj szczęśliwszym, niż kiedyindziej.

Powstali i poszli w głęboki bór: i oto w niedługą chwilę przed ich oczami błyszczała w słońcu polanka. Lilie i dzwonki kwitły wśród murawy, pstre motyle upędzały się tu i owdzie, a na skraju lasu stał także i domek, jak niegdyś przed laty. Z bijącem sercem obeszli chatę: i oto zdrój młodości był na swojem miejscu, a złocisto-zielone panny ponad nim się unosiły.

Jan i Magda postąpili na krawędź zdroju. Trzymali się pod ręce i pochylili nad wodą, a z jasnego jej zwierciadła spojrzały ku nim dwie siwe głowy, dwa łagodne pomarszczone oblicza.

Wtedy gorące łzy rzuciły się z oczów obojgu staruszkom; łkając, wyznali sobie nawzajem swoją winę. Długo to trwało, aż zrozumieli, że jedno drugie podeszło i przez całe lata miłośnie łudziło.

— Więceś ty wiedziała — zawołał Jan wesoło — żeśmy się oboje postarzeli!

— A tak ci, tak — śmiała się kobieta wśród łez.

— A ja także — zawołał Jan. — Hej, ha! — i próbował podskoczyć.

Potem zaś objął swoją kobietę za głowę i całował ją, jak wtedy, gdy mu przysięgała miłość.

Nagle, jakby z pod ziemi wyrosła, stanęła przed niemi leśnica.

— Witajcie — rzekła — długoście się u mnie nie pokazywali. Ale, ale — mówiła, grożąc palcem. — Zleście gospodarzyli z wodą młodości: i zmarszczki i siwe włosy! Ej, ej. No, no — prawiła, pocieszając — łatwo temu poradzić i przyszliście w dobrą godzinę. Żywo, skoczcie do studzienki, nie głęboka, zanurzcie tylko siwe włosy, wtedy cuda zobaczycie. Kąpiel powróci wam siłę młodości i piękność. Ale spieszcie się, zanim się słońce do zachodu pochyli.

Jan i Magda spojrzeli po sobie pytającym wzrokiem.

— Chcesz? — zapytał Jan niepewnym głosem.

— Przenigdy — odrzekła szybko Magda. — O gdybyś wiedział, jaka rada jestem, że nareszcie mogę być starą! A potem, to nie uchodzi już, ze względu na nasze dzieci i wnuki. Nie, leśniczko droga, tysiączne dzięki za wasze dobro, ale już zostaniemy, jak jesteśmy. Prawda, Janie?

— Tak — potwierdził Jan — zostaniemy starymi. Hopsa! Gdybyś ty wiedziała Magdo, jak ci też pięknie z twoją siwą głową!

— Jak chcecie — rzekła leśnica, nieco markotna. — Nie ma tu musu.

To powiedziawszy, weszła do domku i zamknęła drzwi za sobą.

Oboje zaś staruszkowie znowu się ucałowali. Potem szli ramię pod ramię lasem do domu, a letnie słońce zlewało złotym blaskiem siwe ich głowy.